

Na co dzień towarzyszył im chaos i harmider niemałego przecież miasta. Dlatego by znaleźć wytchnienie, udały się, nie pierwszy już raz, do pobliskiej Puszczy Białowieskiej. O kimże mowa? Historia ta opowiada o dwóch znużonych życiem nauczycielkach biologii w miejscowym liceum: ponadtrzydziestopięcioletniej Hiacyncie Gwóźdź, zwanej „Rzeżuchą” oraz nieco od niej młodszej Eulalii Tulei, której hoża młodzież z powodu jej oryginalnego hobby nadała pseudonim „Nibynóżka”.

Gdy grodnianki dotarły do leśniczówki „Na Rozdrożu”, było już wpół do siódmej. Na zszarzałym niebie widniały szarobure esy-floresy chmur, a spośród konarów drzew dochodziło świergotanie nierzadkich tu białorzytek. Poza tym kiedy niekiedy tępo pohukiwały pustułki i gdzieś tam odzywały się dzięcioły.

Ni stąd, ni zowąd jedna z niewiast krzyknęła żałośnie, gdyż wśród leśnych chaszczki szerniałych dzikich jeżyn mignęła znajoma jej twarz. I chociaż w świetle latarki trochę niedowidziała, jakby szóstym zmysłem wiedziona, rozpoznała tego huncwota, który ją oczarował, a niezadługo potem rzucił i po prostu odszedł w nieznaną. Hiacynta zachnęła się: „A więc to tak, zamiast harmonii odnajdę tu nie najmiłsze wspomnienia o eksnarzeczonym, chirurgu z zawodu, a chuliganie z powołania”. Koleżanka powoli odrzekła, że niemyślenie o tym hultaju jest w jej sytuacji najlepszym wyjściem. Chwilę potem obie panie chyżo maszerowały na niedaleką polanę. Wkrótce leżały na rosnącym tu i ówdzie leśnym merzyku i oddawały się słodkiemu nieróbstwu. „Dopóty wszak czujemy się nie najgorzej, dopóki same dbamy o swój dobry humor” - myślały zgodnie.

Piętnaście minut później jedna z nich spała, a druga, zanurzony w marzeniach o miłości wszech czasów, chłonęła świeże powietrze prastarej kniei.